



Orson Scott Card "Zaginione wrota" (fragment 1)

Fahrenheit Crew

Inne dzieci znieubiły go i albo z niego drwiły, albo w ogóle nie chciały z nim rozmawiać, jako z drekką. „Nie jesteś jednym z nas”, mówiły – często dokładnie tymi słowami. W czasie wolnym nie zabierały go na swoje eskapady; nie wybierały go do swoich drużyn; nigdy mu nie mówiły, kiedy jedna z ciotek rozdawała ciastka albo inne przysmaki; i zawsze musiał sprawdzać, czy nie ma w swojej szufladzie pajaków, węży albo psich kup. Szybko się do tego przyzwyczaił i wiedział, że nie może o tym powiedzieć żadnemu z dorosłych. Co by mu to dało? Jak dobrze by się bawił, gdyby jakiś dorosły zmusił pozostałe dzieci, żeby zabrały go ze sobą? Jakie psikusy płatałyby po tym, jak dostałyby w skórę za umazanie kupą jego czystych ubrań?

Dlatego w owym idyllicznym świecie duszków i duchów, bogów i mówiących zwierząt Danny był bardzo samotny.

Znał wszystkich; wszyscy byli z nim spokrewnieni. Jednak kazano mu wstydzić się za wszystko, co robił dobrze, a jeszcze bardziej za to, czego robić nie potrafił, i nawet tych kuzynów, którzy traktowali go życzliwie, postrzegał tak, jakby ich życzliwość była litością. Któż bowiem mógł szczerze lubić chłopca tak mało wartego, przez którego linia rodu Northów, już osłabiona, słabła coraz bardziej, a on był z nich wszystkich najsłabszy.

Ironia polegała na tym, że Danny od urodzenia wychowywany był osobno, a nie z innymi dziećmi – ale z dokładnie przeciwnego powodu. Jego ojciec, Alf, Brat Skały z darem do czystych metali, znalazł sposób, jak wnikać do żelaza, z którego zrobione są maszyny, i sprawić, by działały prawie bez tarcia i bez konieczności smarowania. Była to tak pożyteczna i dotąd niespotykana umiejętność, że wybrano go na głowę rodziny i, co za tym idzie, mianowano Odynem, Danny jednak mówił do niego z szacunkiem „Baba”.

Matka Danny’ego, Gerd, była tylko trochę mniej nadzwyczajna; magini światła, nauczyła się zmieniać barwę załamanych promieni światła tak, by różne rzeczy stawały się niewidoczne, chowały się w cieniu bądź świeciły jasno jak słońce. Stary Gyish, ówczesny Odyn, przez wiele lat nie pozwalał na ślub Alfa i Gerd w obawie, że połączenie dwu tak potężnych gałęzi rodu zaowocowałoby wydaniem na świat kogoś straszego – maga wrót, którego Northom nie wolno było już nigdy mieć, albo zaklinacza ludzi, którego wszystkie rodziny przysięgły unicestwić.

Kiedy jednak Gyish ustąpił po ostatniej przegranej wojnie i mag maszyn Alf został mianowany Odynem na jego miejsce, rodzina niemal jednogłośnie wyraziła zgodę na to małżeństwo. Jego owocem był Danny, dziecko, które jak żadne od wielu pokoleń zasługiwało na miano królewicza.

Wszyscy dorośli rozpieszczali Danny’ego we wczesnym dzieciństwie. Był złotym chłopcem i wiele się po nim spodziewano. Od małego inteligentny, szybko nauczył się czytać, biegle opanował wszystkie języki Northów, miał zręczne palce, biegał i skakał jak sportowiec, był aż nazbyt ciekawy i prawie każdego potrafił rozśmieszyć. Jednak w miarę jak dorastał, te cechy nie mogły przysłonić jego zupełnego braku harmonii z którąkolwiek z magii rodziny.

Danny próbował wszystkiego. Uprawiał ogródek u boku kuzynów obeznanych z ziołami, drzewami i trawami – tych, którzy jako dorośli magowie mieli dopilnować, by farmy Northów pozostały tak zadziwiająco urodzajne jak dziś. Jednak rośliny wysiane jego ręką wschodziły słabo, nie potrafił też

wyczuć tętniącego pulsu drzewa.

Waleśał się po lesie z tymi, którzy znali się na zwierzętach – tymi, którzy, jeśli tylko zdołają ustanowić głęboką więź z wilkiem, niedźwiedziem czy (kiedy z niczym większym się nie uda) wiewiórką lub wężem, zostaną Przyjaciółmi Oka albo Braćmi Szpona i będą przemierzać świat w zwierzęcej postaci, gdy tylko zechcą. Jednak wszelkie stworzenia uciekały przed nim, warczały lub wręcz brały się do gryzienia, nie znalazł więc wśród zwierząt przyjaciół.

Próbował zrozumieć, co to znaczy służyć kamieniowi, wodzie, wiatrowi czy elektryczności przeszywającej powietrze błyskawicy. Jednak kamienie siniaczyły mu palce i poruszały się na jego wezwanie, tylko kiedy je rzucał; wiatr jedynie kołtunił mu włosy; a z burz i stawów wychodził przemoczony, zmarznięty i bezsilny. Nie był cudownym dzieckiem, przeciwnie, jeśli chodzi o magię, uczył się powoli. Gorzej niż powoli. Nie robił żadnych widocznych postępów.

A mimo to, pomijając samotność, nie narzekał na los. Długie wędrówki po lesie sprawiały mu przyjemność. Jako że nie przyciągał drzew ani zwierząt, po prostu biegł, szybki i niestrudzony. Na początku biegał tylko w obrębie osady, bo inaczej drzewa strzegące granic pochwyciłyby go i podniosły alarm, sprowadzając dorosłych Strażników Nasion i nawet wujka Poota, aktualnie jedyne Żywicznika w rodzinie – a oni nie daliby mu odejść.

Jednak ostatniej zimy – może dlatego, że drzewa były uśpione i mniej czujne – znalazł trzy różne trasy, które pozwalały mu obejść drzewa wartowników z daleka. Zdawał sobie sprawę, że jako prawdopodobny drekka jest obserwowany – nigdy nie wiedział, czy nie śledzi go zewnętrzne ja któregoś z dorosłych. Dlatego za każdym razem docierał do tych tajnych przejść inną drogą. Chyba nikt nigdy go nie widział, kiedy przekraczał granicę ziemi Northów. A przynajmniej nikt nigdy mu tego nie zarzucił.

Znalazłszy się na swobodzie, biegł i biegł w pierwszym lepszym kierunku. I jakże był szybki! Pokonywał wiele kilometrów, a mimo to zdążał na kolację do domu. Zatrzymywał się, dopiero gdy napotykał szosę, ogrodzenie, dom, fabrykę lub miasto, po czym pod osłoną lasu, chaszczy albo krzaków patrzył, jak suszlacy żyją swoim życiem, i myślał: Z natury jestem jednym z tych ludzi bez żadnych magicznych darów ani mocy, żyjących z pracy rąk albo ze słów płynących z ust.

Z jedną małą różnicą: suszlacy nie wiedzieli, że są pozbawieni wszystkiego, co na świecie szlachetne. Nie mieli poczucia utraconej spuścizny. Rodzina Northów ignorowała ich, zupełnie się nimi nie zajmowała. Gdyby jednak Danny spróbował odejść, wszelkie tajemnice rodziny byłyby zagrożone. Wszystkie opowiadane ciemnymi nocami historie o zdrajcach, o wojnach między westiliańskimi rodami kończyły się tym samym morałem: każdy, kto przeciwstawi się rodzinie i bez zezwolenia ucieknie z osady, zostanie odnaleziony i zabity.

W tym okresie swojego schyłku Northowie może nie mieli tyle mocy co w czasach, zanim Loki zamknął wrota, przed wiekami wojen z pozostałymi rodami. Byli jednak niezrównanymi myśliwymi. Nikt nie mógł im uciec. Danny wiedział, że ilekroć opuszczał osadę, brał swoje życie we własne ręce. Był szalony, że to robił. Jednak poza osadą czuł się wolny. Świat był tak wielki, tak pełen ludzi, którzy jeszcze nim nie gardzili.

Nie mają talentów jak nasze, a mimo to budują drogi, fabryki, budynki. Musimy sprowadzać ich maszyny, żeby klimatyzować nasze domy. Łączymy się z ich internetem, żeby czytać wiadomości i pisać e-maile do zaufanych zwiadowców, których rodzina wysyła w świat. Jeździmy samochodami, które kupujemy od nich. Jakim prawem czujemy się lepsi? Wszystkie te rzeczy są poza zasięgiem naszej mocy i kiedy westiliańskie rody władały światem jako bogowie Frygijczyków, Hetytów, Greków, Celtów, Persów, Hindusów, Słowian i oczywiście wikingów, życie zwykłych ludzi było

okropne, brutalne i krótkie - a nasze wymagania wobec nich czyniły je jeszcze okropniejszym, krótszym i brutalniejszym.

Świat byłby lepszy, gdyby takich bogów w ogóle nie było. Braliśmy wszystko, co chcieliśmy, bo mogliśmy, zabijaliśmy każdego, kto wchodził nam w drogę, obalaliśmy królów i osadzaliśmy na tronie ich następców, wysyłaliśmy naszych uczniów na podboje - za kogo myśmy się uważali? W dawno zaginionym świecie Westil, gdzie talent miał każdy, może byłoby to sprawiedliwe, bo wszyscy mieliby mniej więcej równe szanse. Jednak tutaj w Mittlegardzie - na Ziemi - gdzie tylko kilka westiliańskich rodów posiadało takie moce, to było nie w porządku.